

„Dzionek, Dzioneczek, Gwiazda, Gwiazdeczka,

Słonko, Słoneczko, Drożynka Mleczna,

Psipsia, Kruszyńka i jeszcze parę - to są imiona Mojej Starej.”

Tak kończy się wiersz Andrzeja Waligórskiego, w którym autor wymienił tych imion aż pięćdziesiąt siedem. Wydawałoby się, że ustanowił rekord.

Nic podobnego, bo oto nasz naród pobił na głowę mistrza Andrzeja w wymyślaniu nazw i określeń dla grupy produktów, które towarzyszą mu od zamierzonego stalinizmu do teraz. Produktów, bez których nie zbudowalibyśmy Nowej Huty, nie zwyciężylibyśmy komunizmu, nie weszlibyśmy do Unii Europejskiej, ani nie doprowadzilibyśmy do dzisiejszego bałaganu. Produktów, bez których nasze sklepy spożywcze byłyby jakieś niecałe i nie w pełni polskie - tanich win owocowych.

Alpaga, bełt, ćmaga, jaboł, J-23, kwas, mamrotka, mózgojeb, pryta, siara, wino marki „Wino”, wino patykami pisane, żur - to tylko niektóre określenia tych trunków. W Internecie udało mi się wyszukać ich czterdzieści cztery.

Równie różnorodna jest lista ich nazw. Są napoje o etykietach przedstawiających wizerunki zaniedbanych kobiet z jaskrawymi napisami: „Eva”, „Olla” czy „Moja Miss”. Ze skarbnicy tradycji i kultury zaczerpnięto nazwy: Bachus, Kmicic, Węgrzyn czy Książ. Ze światowej kinematografii wzięto „Terminatora”, „Rambo”, „Zorro” i „Wściekłego Byka”, a melomani mogą rozkoszować się „Jazzem”. Na półkach sklepowych można znaleźć nie tylko napitki o nazwach wsiowo-swojskich jak: „Łzy Sołtysa” czy „Uśmiech Kombajnisty”, ale też zaczerpniętych z języków obcych jak: „Chateaux de Żur” czy „Spirit of The Time”. Nazw tych znalazłem aż trzydzieści osiem.

Nazwy firmowe dla tych win wymyślili producenci, ale kto wymyślił te wszystkie ćmagi, pryty czy żury? Dlaczego właśnie one doczekały się aż tylu określeń? Dlaczego nie opisujemy tak kwieciście mleka czy herbaty? Przecież większość z nas uważa spożywanie jaboli za ujmę, a koneserów tych trunków mamy za margines społeczny. A może to nieprawda? Może jesteśmy zakłamanymi i tak naprawdę lubimy bełty i chętnie je pijamy. Jest, jak jest, ale statystyki mówią, że tanie wina owocowe to ponad trzy czwarte win sprzedawanych w Polsce.

Zalóżmy dla komfortu psychicznego, że porządni ludzie win takich nie piją i przyjrzyjmy się tym, którzy to robią. Trudno mi coś powiedzieć o ludziach spożywających je w domowych pieleszach, natomiast pijących na „wolnym wybiegu” podzieliłbym na dwie grupy: pijaków i konsumentów.

Pijaków można często spotkać pojedynczo lub w postaci mikrogangów pod większymi sklepami, gdzie próbują wyłudzać od klientów pieniądze. Z reguły są pijani, agresywni i niewarci uwagi.

Konsumenci są inni. Choć nieraz też proszą przechodniów o finansowe wsparcie, ale robią to grzecznie i z pewną nieśmiałością, a słowa „przepraszam” lub „dziękuję” nie są im obce. Zakupionych win nie chleją zaraz za rogiem, ale konsumują je ze swego rodzaju elegancją. Wydaje mi się, że ich pijaństwo jest jakby „lepszego sortu” i że ma jakieś drugie dno.

Przez wiele lat pracowałem w pobliżu dworca kolejowego, przy którym było kilka domów zamieszkałych przez kolejarzy. Kiedyś przejeżdżało tamtędy kilkadziesiąt pociągów dziennie, ale zmiany społeczno-polityczne spowodowały, że ruch prawie zamarł, a z mieszkańców kolejowych budynków pozostali tylko nieliczni. Jednym z nich był mężczyzna w nieokreślonym wieku - sumienny konsument rzeczonych win. Codziennie rano przychodził do niego kolega i razem odwiedzali pobliski sklepik. Zawsze mieli umytą butelkę z wczoraj i tam wymieniali ją na pełną. Potem niespiesznie udawali się na nasyp nieużywanej bocznicy kolejowej, siadali na szynie i tam powolutku raczyli się trunkiem. W zimne dni konsumpcja odbywała się na opuszczonym peronie numer dwa. Następnie kolega naszego sąsiada zniknął, a on sam siadał na ławce przed swoim domem i obserwował ruch uliczny. Ruch ten był niewielki i praktycznie tworzyły go samochody odwiedzające naszą firmę.

Którejś niedzieli przejeżdżałem rowerem przez wioskę położoną po drugiej stronie dworca i zatrzymałem się przy tamtejszym sklepiku na loda. Przed sklepikiem był parasol z napisem „Lech”, pod nim stolik, a przy nim siedział nasz dobry znajomy z butelką jabola. Kupiłem loda i wahałem się, czy usiąść na przysklepowym murku, czy przy stoliku.

– Panie kierowniku, niech se pan siednie. Jest wolne – usłyszałem od strony stolika.

Podziękowawszy, usiadłem i wtedy po raz pierwszy z bliska przyjrzałem się sąsiadowi. Ubrany był w „kościelne” ubranie, bo też i pora była tuż po sumie. Miał dłonie zgrubiałe od ciężkiej pracy, a na twarzy - choć zniszczonej nadużywaniem - malował mu się spokój i sympatia do wszystkiego dokoła.

Siedzieliśmy tak już chwilę bez słowa - on sącząc wino z plastikowego kubka, a ja liżąc loda. To milczenie chyba było dla niego nie do zniesienia, bo opróżniwszy kubek, strzepnął fachowo ostatnie krople na ziemię, nalał od serca, podał mi i powiedział:

– Niech się pan napije panie inżynierze.

– Nie. Dziękuję. Jestem rowerem – odmówiłem najgrzeczniej jak umiałem.

– Iii. Tutaj policji nie ma.

– Ale ja dalej jadę przez miasto, a tam może być.

– No, może – zgodził się.

– A pan dzisiaj sam? Bez kolegi? – zapytałem, żeby podtrzymać tak pięknie rozwijającą się konwersację.

– Sam, bo on nie chodzi do kościoła – odpowiedział. – A ja tak po kościele to se lubię wypić winko – kontynuował. – Wezmę se flaszczykę, siedne tu i pomaluśku wypiję. Jak czasem przyjdzie jaki znajomy to zrobimy jeszcze jedną, ale najlepiej pije mi się samemu. Siedzę se, piję i myślę.

To ostatnie zdanie mnie rozbawiło, bo nie wyglądał na człowieka biegłego w myśleniu. Starając się, żeby w moim głosie nie było słychać kpiny czy zaczepki, zapytałem:

– A o czym pan myśli?

– Najwięcej to o ludziach.

Zaskoczył mnie i nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Sąsiad tymczasem pociągnął mocno z kubka i kontynuował:

– Na co Pan Bóg narobił tyle różnych ludzi: Murzynów, Ruskich, Niemców? Albo, na co jest tyle wiarów - jakieś islamy, jehowy? Najlepiej jak by byli jedne ludzkie i jedna wiara.

Już miałem zapytać, jakaż to wiara i jacy ludzie byliby tymi właściwymi, gdy kawałek lodu spadł mi na spodnie. Czyszcząc je, wyczyściłem też głowę z głupich pytań i odpowiedziałem, niechcący wstrzelując się w jego styl:

– Ano. Nie wiadomo czemu Bóg tak zrobił. To nie na nasze głowy.

– No! Nie na nasze głowy – zgodził się i zapatrzył w etykietkę na butelce.

Mój lód się skończył, więc pożegnałem się grzecznie i odjechałem.

Na kilka kilometrów przed domem złapałem gumę i musiałem iść pieszo. Byłem zły na siebie, a jeszcze bardziej na Boga za to, że oprócz Murzynów, Ruskich i Niemców stworzył też takiego idiotę, który wyjechał na wycieczkę, nie biorąc nic do naprawy roweru.

Tamto niedzielne spotkanie spowodowało, że nasz sąsiad poczuł się ze mną skumplowany. Codziennie witał mnie głośno ze swojej ławeczki, nazywając według swojego uznania inżynierem, dyrektorem lub prezesem. W dni, gdy przyjeżdżało do nas dużo aut, podchodził nawet pod bramę, jakby nie chcąc przegapić któregoś z nich. Temat tych aut wyraźnie go intrygował, bo któregoś dnia zapytał mnie:

– Co to za wielki tir był wczoraj u was?

– Towar nam przywiózł – odpowiedziałem.

– Towar – powtórzył. – Towar, ważna rzecz – dodał po namyśle. – A te busiki? Takie czarne, żółte, białe – drążył temat.

– To auta kurierskie z różnych firm – wyjaśniłem.

– Auta kurierskie. Takie auta to dobra rzecz – spuentował.

Z czasem zbliżył się też do innych pracowników naszej firmy. Ich też pozdrawiał, nie szczędząc tytułów i wypytywał o różne rzeczy. Był niejako naszym człowiekiem na ulicy i gdy któregoś dnia zniknął, powiało pustką. Na szczęście nie zniknął na zawsze, a nasza wszystkowiedząca koleżanka przyniosła wiadomość, że wyjechał na odwyk. Kuracja chyba się udała, bo po powrocie już nie chadzał co rano do sklepiku. Nadal siadywał na swojej ławeczce, nadal nas pozdrawiał, ale był jakiś smutny i jakby nieobecny duchem - nie ten sam człowiek.

Po kilku miesiącach owa wszystkowiedząca koleżanka przyniosła smutną wiadomość, że nasz człowiek powiesił się w pobliskim lesie. Powiedziała też, że ksiądz nie chciał go po katolicku pochować, ale w końcu dał się finansowo przekonać i że pogrzeb będzie za dwa dni.

Skrzyknęliśmy się i wszyscy poszliśmy na jego pogrzeb. Byliśmy największą grupą żałobników i dopiero tam poznaliśmy jego imię i nazwisko.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 20.05.2022 16:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.